

82

Regina Okrent

Kiedy ZSRR zajęło wschodnie tereny Polski był wielki pęd /przynajmniej w Łodzi/ do przejścia na stronę sowiecką. Była to głównie ucieczka przed Niemcami - nie tylko komunistów. Polacy z różnych powodów bali się Niemców, ludność żydowska szczególnie. Robotnicy, komuniści wierzyli, że w ZSRR będzie bardzo dobrze.

Mąż mój był już we Lwowie więc chciałam do niego dołączyć. Nie zabierałam ze sobą dużo rzeczy, sądziłam, że tam będzie wszystko będzie można pracować, zarobić. Ale było problemem tam się dostać. Wyruszyłam ze szwagrem z Łodzi. Na samochód prywatny nie mieliśmy pieniędzy, autobusem też nie mogliśmy się zabrać. W końcu dostaliśmy się z Główna na jakiś pociąg i dojechalśmy do granicy na Bugu. Tam było bardzo dużo uciekinierów, ale w końcu przeprawiliśmy się kładką na tamten brzeg, przenocowaliśmy w jakiejś chacie i potem pojechaliśmy do Lwowa.

W pociągu do Lwowa jechało dużo żołnierzy sowieckich. Byłam szczęśliwa, zachwycona ich śpiewem.

Męża, gdy przyjechaliśmy, nie było w domu, pracował wtedy w fabryce zbrojeniowej. W jego pokoju zastaliśmy 5 osób śpiących na siennikach.

We Lwowie istniała organizacja pomocy byłym więźniom /MOPR?/ i gdy Sowieci rekwirowali domy, to członkom tej organizacji dostała się pewna ilość mieszkań. Pokój w tym dużym mieszkaniu dostał też od nich mój mąż. Po pewnym czasie zajęliśmy drugi pokój, na który mąż też miał przydział, ale któregoś wieczora usunęli z niego nas jacyś kolejarze.

W sklepach nie można było już nic dostać, powstały bazy - jeden z nich nazywał się "tołczok". Zaczęłam pracować w fabryce trykotaży.

Po pewnym czasie obserwowaliśmy jak jeżdżą po nocach karetki i zabierają ludzi. Początkowo myśleliśmy, że wywożeni to jacyś wrogowie. Nie wiedzieliśmy kogo wywożą. Wierzyliśmy w sprawiedliwość

komunistów. Dla nas komunizm był ideą sprawiedliwości i dobra. Nie wierzyliśmy, że komuniści robią źle. Ale niektóre rzeczy zaczęły zwracać naszą uwagę. Mąż kiedyś powiedział - oni zachowują się jak okupanci. Powiedział to tylko mnie. To była wielka obraza. Dowiedzieliśmy się, że zabierają również uciekinierów-Polaków. Strach padł na nas. MOPR? zaczął wydawać swoim ludziom zaświadczenia brońjące ich przed wywózkami. Ja przed wojną nie byłam więźniem, mąż był i tylko on dostał takie zaświadczenie.

Pewnej nocy, nocując u sąsiadów, usłyszeliśmy jak dobijają się do nas. To zdecydowało, że mąż wystarał się o takie zaświadczenie również dla mnie. Byliśmy już spokojni. Ale strasznie nas to bolało. Współczuliśmy wywożonym, nie mogliśmy tej sytuacji zrozumieć, Pewnego dnia okazało się, że zabrali w nocy przyjaciela męża z żoną - komunistę z Łodzi Tolka Kaufmanna. Mąż rozpoczął starania o jego uwolnienie. Ale nim otrzymał to zaświadczenie byli już oni załadowani do pociągu. Biegliśmy wzdłuż pociągu wołając go. W końcu znaleźliśmy go podaliśmy mu to zaświadczenie, ale NKWD-ziści nie chcieli go wypuścić. Potem na jakiejś stacji zdołał się wydostać z pociągu zostawiając żonę w zastaw, ale gdy wrócił pociągu już nie było. Żona pojechała na zesłanie.

Potem urodziłam Ludwikę i przestałam pracować. Gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska poszłam do swego zakładu wraz z dzieckiem. Tam okazało się, że Rosjanie się ewakuują. Nie wróciłam już do domu, tylko z tym co miałam przy sobie /była to kołderka, poduszka i trochę pieluszek, mydło/, sama byłam w letniej sukience, przy pomocy jednej Ukrainki dostałam się z dzieckiem do pociągu ewakuacyjnego. Mąż zgłosił się do wojenkomatu. W tym pociągu nie byłam już tak szczęśliwa, pryskały mity o sowieckim człowieku. Panował strach i histeria. Pociąg ścigały samoloty niemieckie. Dojechalismy do Kijowa. Tam mieszkałam trochę czasu. Miasto było bombardowane i przeżyłam wiele alarmów nocnych kiedy to z 8 piętra musiałam uciekać do schronu.

Niedługo potem, wraz z innymi kobietami z dziećmi, pojechałam do kołchozu w obwodzie stalingradzkim, który nazywał się "Siódmy Zjazd Sowietów". Każdą z nas skierowano do jakiejś chaty. Przeważnie mężczyźni byli już zmobilizowani więc było trochę miejsca dla nas. Gdy powoływano do wojska następnych mieszkańców kołchozu cała wieś żegnała ich z płaczem i szlochami. Dziwiłam się temu, przeczyło to moim wyobrażeniom o patriotyzmie ludzi radzieckich. Była to wieś kołchozowa, w której mieszkali rozkułaczeni mieszkańcy innych republik, zwłaszcza z Ukrainy i Białorusi. Mówili mieszanką swoich gwar, nie mogłam ich na początku zrozumieć. Nie byli zwolennikami władzy radzieckiej. Niektórzy czekali przyjscia Niemców i powrotu przedrewolucyjnych układów.

Pracowałam na roli. Ziemia tam była cudowna, wspaniale rodziła, bez nawozów. Żywności nie brakowało, zresztą mieli działki przyzagradowe, na których hodowali kapustę, marchew, ziemniaki, posiadali także własny inwentarz: krowy, swinie, kury. Nie mieli natomiast ubrań, butów, sprzętów domowych.

Na zimę uszyłam sobie kufajkę z waty, ale butów nie miałam. Ponadto przydziały dla nas kradł zarząd kołchozu. Dopiero później dostałam parę metrów satyny na sukienkę, ale to było wszystko za mało, na głowę kładłam pieluszkę Ludwiki. Mrozy dochodziły do 40 stopni.

Opowiadałam im o zbrodniach niemieckich, nie wierzono mi, więc przestałam im opowiadać. Wkrótce stałam się potrzebna, gdy przychodziły listy z frontu. Czytałam im po parę razy. Kobiety były niepiśmienne. Czytałam im także gazety kołchozowe. Zrobiłam się kimś. Pomagałam również chłopcu gospodyni w nauce.

We wsi nie było elektryczności. Palono kopciłki zrobione z kartofli. Wydrążano w nich wgłębienia, do których wkładano nasączoną naftą watę.

Z innych obserwacji kołchozowych zwyczajów mogę opowiedzieć

o konspiracyjnym kultywowaniu praktyk religijnych. Szczególnie było to widoczne około dużych świąt kościelnych. Przygotowywano przysmaki, zbierano się w grupach.

Szokowały mnie różnice cywilizacyjne. Gdy im opowiadałam o zwykłych codziennych zwyczajach /np. koszule do spania i do noszenia w dzień/ kołchoźnice uważały, że zmyslam, fantazjuję.

Kiedy zaczęły się walki o Stalingrad /a Niemcy byli w odległości 1 1/2 godziny od nas/ znowu przeżyłam ogromne rozczarowanie. Pracowaliśmy od rana do nocy. Trzeba było zebrać z pól wszystko - człowiek się nie liczył. Spaliśmy wówczas na polu i obserwowałam walki powietrzne koło Stalingradu.

Przewodniczącym kołchozu był Niemiec. Pewnego dnia zniknął, zabrało go NKWD. Opinia wiejska wcale go nie żałowała. Był człowiek, nie ma człowieka. Łatwo się z tym faktem pogodziło.

Gdy było już bardzo niebezpiecznie, front się coraz bardziej zbliżał, wyjechałam za Ural. Zamieszkałam w Łyswie w obwodzie swierdłowskim. Dziecko oddałam do tygodniowego żłobka i zaczęłam pracować w fabryce. Moje starania o uzyskanie innej niż fizyczna praca spełzły na niczym. Zaobserwowałam wówczas jak traktowani byli przez dyrekcję zakładów robotnicy. Oburzało mnie mówienie do nich "ty". Pytałam dlaczego tak? Każdy dyrektor, naczelnik był ważny. O awans trzeba się było wytargować.

Praca 12-godzinna była ponad moje siły. Nie wykonywałam normy co wiązało się z obniżeniem kartek żywnościowych. Byłam wygłodzona i wycieńczona.

Któregoś dnia spotkałam kolegę męża. Gdy zobaczył jak wyglądam i w jakich warunkach mieszkam przeraził się. Przyniósł mi co mógł: za duże buty, czapkę, talerzyk, łyżkę drewnianą ...

W tym czasie skontaktowałam się z mężem, który zapowiedział swój przyjazd. Bardzo bałam się tego spotkania, wstydziłam się swego wyglądu, ale wszystko poszło dobrze. Pewnie mąż był przygo-

towany na wszystko. Natychmiast postarał się o zwolnienie mnie z fabryki. Nie chciano mnie zwolnić, ale "sprawka" z NKWD pomogła. Zamieszkalismy razem.

Następnego dnia poszłam po dziecko. Półtoraroczna Ludwika była ciężko chora. Miała wietrzną ospę, koklusz, zapalenie płuc. Była na granicy życia i śmierci. Po odruchach stwierdziłam, że była bita. Dzięki pomocy dr Olingera wyszła szczęśliwie z tych chorób i znowu stała się ładnym dzieckiem.

Potem dowiedziałam, że dzieci w tym żłobku nie karmiono, same nie umiały jeść, były więc wygłodzone. Pozostawioną żywność obsługa żłobka oczywiście sprzedawała.

Wyprowadziliśmy się z baraku do normalnego domu w śródmieściu. Zaczęłam pracować w warsztatach krawieckich. Troską naszą było nadal zdobywanie pożywienia, witamin, lekarstw.

× Była w tym mieście dzielnica zwana "Kuszajka", którą zamieszkiwali byli zesłańcy. Zbudowali sobie w tajdze wspaniałe, ciepłe domy. Byli bogaci w porównaniu z innymi. Mieli gospodarstwa przydomowe - własne krowy, kury, kartofle, jarzyny a przede wszystkim uprawiali czosnek. Do nich chodziło się bardzo niebezpieczną drogą by wymienić jakieś rzeczy na trochę masła czy czosnku. Nie chcieli bardzo sprzedawać, pracowali w kopalniach, mieli pieniądze. Ale uciekinierzy mieli do zaoferowania rzeczy w dobrym gatunku, buty, garnitury. Dlatego nieraz można było coś zamienić na żywność. Wśród uciekinierów z Zachodu szczególnie zasobni w rzeczy do wymiany byli Estończycy.

Wkrótce potem zaczęła przychodzić dla nas uciekinierów pomoc z USA. Nie była rozdzielana ona uczciwie. Członkowie komitetów rozdzielających kradli większą jej część.

Tam też dowiedziałam się, że ludność miejscowa przekonana była, że my ludzie z Zachodu cierpielismy głód. Wpajano im to przekonanie przez lata. Opowiadał brat męża, który stanął jeszcze jako tako

ubrany w kolejce po kartkowy cukier i naftę. Obie kolejki go przepuściły mówiąc - on z Zachodu, tam cukru nie ma ...

Z przykrością dowiedziałam się także o nieuczciwym rozdzielaniu kartek na chleb, o ukrywaniu faktów śmierci, o kradzieżach w przed-szkolnych stołówkach ...

Była w tym mieście fabryka, w której wyrabiano pociski do ~~ka-~~ ~~tiusz~~*. Pracowali tam m.in. zmobilizowani robotnicy z Uzbekistanu, Azerbejdżanu i innych południowych republik. Ani klimat ani je-dzenie im nie służyło. Marli jak muchy. Mieszkali na terenie fa-bryki, w mieście ich nie widywano. Przy zmarłych bardzo często znajdowano niewykupione kartki na chleb ... Nie znali języka ro-syjskiego. Byli żółci-też od wyziewów fabrycznych.

Gdy powstała II Armia Wojska Polskiego mąż postanowił wstąpić do niej, by bezpośrednio przyczynić się do klęski Niemiec. Pojechał na front. Znowu zostałam sama. Zginął w okrążeniu niemieckim wraz ze sztabem polskim 24 kwietnia 1945 r.

Po zakończeniu wojny, mimo że mnie zatrzymywano, postanowiłam wrócić do Polski. Ponieważ mówiono, że w Polsce straszny głód postarałam się o suchary i worek kaszy jaglanej i z tym dobytkiem przyjechałam do kraju.